

Z RUIN

| Opowiadanie w kontekście fabuły „Czas potworów” 2026 |

Carlos Domingo da Silva od dziecka marzył o wstąpieniu do legendarnej SSW. Jak co drugi styryjski dzieciak. Pozostałe chciały wstąpić do Gwardii albo do Czarnej Tercji. W przeciwieństwie jednak do znakomitej większości swoich znajomych z dzieciństwa Carlosowi swoje marzenia udało się spełnić, a przynajmniej był na najlepszej drodze do ich spełnienia. Co prawda nie był jeszcze na etapie, w którym mógłby przedstawiać się poznanym kobietom jako „Da Silva. Carlos da Silva”, ale po dwuletnim szkoleniu w naprawdę hardych warunkach oraz kilku miesiącach niezwykle aktywnej pracy w archiwach dostał wreszcie naprawdę odpowiedzialną robotę. Robotę ochrony tajnego obiektu Wywiadu pod Styragradem.

Na kompletnym zadupiu, w środku lasu pod Styragradem.

Ośrodek był naprawdę niewielki, choć Carlos zdawał sobie sprawę, że pod pancernym w konstrukcji budynkiem pewnie znajduje się podziemny bunkier, pewnie podobnej wielkości, czyli nie większy niż pięć na pięć metrów. Po tygodniu Carlos znał na pamięć każdy metr ogrodzenia i każdy element zabezpieczeń zewnętrznych. Po miesiącu – był w stanie określić, ile liści spadło z każdego z drzew, widocznych z wartowni.

Po czterech miesiącach zaczął podejrzewać, że to mógł nie być awans....

Ale nie tracił nadziei.

Zwłaszcza, że po pół roku zaczęło się coś dziać. Transporty przyjeżdżały jeden za drugim, za każdym razem gęsto obstawione żołnierzami Tercji Styragradzkiej, prowadzone najczęściej przez czarno odzianych i zamaskowanych dowódców, którzy mogli być tylko z Czarnej Tercji.

Tej Czarnej Tercji.

Wtedy Carlosowi przemknęło przez głowę, że może powinien bardziej uważać na to, czego sobie życzy...

Tamtego wieczoru była mgła, tak gęsta, że wszelkie światła stawały się przeciwnie skuteczne, a jedynym zmysłem, na którym oddział ochrony mógł polegać, był słuch. Zaś dookoła las zaczął mówić. Szeptać. Coś stękało wśród bezlistnych drzew, szeleściło wyschniętą ściółką, coś szumiło do złudzenia przypominając niewyraźne słowa w nieznanym językach. Wilgoć przenikała mundury, lepiała się do włosów i twarzy, ludzie zahartowani skądinąd w różnych warunkach drżeli z zimna. I nie tylko z zimna, choć żaden nie przyznałby się do dreszczy na plecach i włosów podnoszących się na karku ze strachu.

Irracjonalnego, organicznego strachu.

Pierwszy kształt zobaczyli przy murze wartowni, ledwo widoczny, rozpylający się w mlecznym tumanie, sphywał w niemożliwy sposób po ścianie wieżyczki. Potem ktoś straszliwie wrzasnął na trzecim odcinku od bocznej bramy. Carlos zrozumiał, że na ten atak nie są ani przygotowani ani wyszkoleni. Ale co to zmieniało, do środka tajnych pomieszczeń agencji ochrony nie mieli wstępu, za niski poziom wtajemniczenia. To akurat wpajano im od początku służby, twoje życie jest mniej ważne niż tajność misji.

- Pod główne wejście! – krzyknął do swoich ludzi, choć nie miał pojęcia, czy ktokolwiek z nich mu jeszcze odpowie – Wycofać się pod wejście! – mierząc na oślep we mgłę cofał się w kierunku, o którym sądził, że prowadzi do wejścia do potężnego bunkra. To tam, w głębokich podziemiach mieściła się jedna z super tajnych siedzib SSW.

Coś skrzypiało obok.

Kroki...

Oddech, tuż przy uchu...

- Nie! – wrzasnął, huk wystrzału zawył mu w uszach wysokim dźwiękiem, ale zdążył odbić w górę lufę, która właśnie zmaterializowała się mu przed oczami – Na litość Tavar, co robisz!

- Wybacz.... – Santiago wychrypiął słowa, jakby sama śmierć trzymała go za gardło – Myślałem, że to one...

- One...?

- Widziałeś je...? – w oczach agenta przerażenie mieszało się z szaleństwem – Nadchodzą...! – tuż za ich plecami coś zatrzeszczało, jak wyłamywane kości, świszczący oddech podniósł im obydwu włosy na karku. We mgłę nieokreślony kształt podniósł się z ziemi, rosnąc powoli, zdawał się rozkompresowywać ruch po ruchu, z obrzydliwym chrzęstem, jakby pojedyncze kości wskakiwały na miejsca. Ale kształt urósł do wysokości człowieka i rósł dalej...

- Do wejścia...! – sapnął Carlos przytomnie, łapiąc za ramię Santiago, drugą ręką mierząc z pistoletu do istoty przed sobą cofał się krok po kroku, aż noga natrafiła na schodek. To była niewielka platforma przy wejściu, miała boki ostonięte dwoma kamiennymi ściankami, nadawała się do obrony – Gdzie pozostali...?

- Nikogo już nie ma Wszys.... – głos zamarł w gardle agenta, który drżącymi rękami bezskutecznie usiłował załadować ponownie broń. Ołowiana kula z nienaturalnie głośnym tąpnięciem uderzyła o kamienną podłogę. Santiago nie zwracał na nią uwagi, stał jak wryty patrząc za plecy towarzysza. Carlos zrozumiał, że jest za późno. Nie chciał się odwracać...

Ciężkie, kamienne wrota rozsunęły się z ogłuszającym zgrzytem, a zanim rozwarły się do końca, obaj agenci usłyszeli chrapliwe:

- Akaszara! Sholoissi! – po którym nastąpiło kilka dźwięków, mogących być tylko rozcinanym workiem z wnętrzościami. Coś zacharczało i spłynęło czarną mazią pod nogi, jakby wsiąknęło w kamienną posadzkę.

- Do środka! – krzyknął ktoś z wewnątrz, kilka postaci minęło ostupiałych agentów, znikając we mgłę, z której zaczęły dochodzić nienaturalne wrzaski rżące wrzaski. Ręka w czarnej rękawicy złapała Carlosa za kark i wepchnęła za wrota, zanim zdążył zaprotestować w kwestii zbyt niskiego poziomu dostępu... Zresztą wcale nie chciał tego robić. Wstawać też nie chciał. Jak urzeczony wpatrywał się we mgłę, cisnącą się przez wejście i w kolejne wracające postaci w czarnych kapeluszach.

- Jeszcze Esteban... - rzucił jeden, zdejmując z twarzy chustę zastaniającą mu twarz – I Julietta – dodał po krótkim przeliczeniu wzrokiem obecnych. Kobieta przy drzwiach, ta, która wyszła pierwsza, nie miała na twarzy chusty. Kapelusz z piórem sugerował oficera.

- Moi ludzie... - stęknął Carlos, nie wstając – Czterech moich ludzi....

- Wiem. Jeśli żyją, sprowadzimy ich. Torres, zabierz ich na dół. Nie mogą tu zostać. To była tylko forpoczta, będzie tego więcej, a do świtu daleko. Miguel, weź dwóch, zabezpieczenie to wejście.

- Robi się – niemal równocześnie odpowiedzieli wezwani. Wysoki tercjero, którego oficer nazwała Torresem, podniósł z ziemi Carlosa niemal za kark – Dobra, przyjacielu, czas wziąć się w garść, zabezpiecz tę pukawkę i przestań mi machać lufą przed nosem. Dalej, tamtędy.

Zeszli wskazanymi wąskimi schodami w dół. Carlos wiedział, że miejsce, które chronił, ma część podziemną, ale do głowy mu nie wpadło, że ta część jest wielokrotnie większa niż malutki fort na powierzchni. Szli korytarzami, częściowo wykonanymi w skale, przez kolejne pomieszczenia, mijając kolejne zamknięte wejścia.

Torres przekazywał rozkazy i wymieniał informacje z mijanymi tercjeros, wszyscy zdawali się być absolutnie spokojni, jakby nie tylko doskonale wiedzieli, co tu się dzieje, ale też w pełni się tego spodziewali.

- Czemu kryjecie twarze...? – Carlos zdecydował się na pytanie, nie dlatego, że nie wiedział, ale z potrzeby zaznaczenia swojej przytomnej i świadomej obecności.

- Głupio pokazywać rzyj każdemu demonowi z Pustki, wiesz – prowadzący ich tercjero wbrew przewidywaniu nie obruszył się z wyższością.

- A ... tamta... Wasz dowódca? Przy wrotach? – na to pytanie Torres parsknął rozbawiony:

- Imira? Hetman Imira Ektelen? Nie musi. Jej twarz zna połowa cholernego piekła...

Kolejne schody doprowadziły ich wreszcie do podziemnej sali wielkości olbrzymiej świątyni. Skojarzenie ze świątynią spowodowane było nie tylko rozmiarem. Na centralnym podwyższeniu, który do złudzenia przypominał ołtarz, w drewnianym stelażu zamocowana była nieregularna kryształowa tafla. Jarzyła się delikatnym światłem, migocząc jak odbicie na poruszonej wodzie, ściągając wzrok, absorbowała uwagę.

- Nie szkolono cię z odporności na magię, co, kolego... - Torres przyjaźnie klepnął go w plecy, widząc, jak przygląda się przedmiotowi z otwartą gębą.

- Nie na taką... - Carlos wyprostował się, odzyskując rezon – Co to... co w ogóle się tu dzieje...

- W skrócie, ten przedmiot przyciąga wszelkie spartolenie wszechświata. Albo i wszystkich wszechświatów – tercjero mówiąc wskazał obydwu naczynie z wodą, a agent dopiero teraz zauważył, że po twarzy ścieka mu krew i jakiś szary syf – Zdaje się, że wasi szefowie długo nie chcieli uwierzyć, że tak będzie. I obstawili teren solidnymi, ale nieprzeszkolonymi ludźmi. Z całym szacunkiem.

Carlos słuchał go. Ale słuchał też czegoś innego. Dziwna tafla nie tylko migotała hipnotyzującym blaskiem, ale także ciuchutko dźwięczała, buczała, jak lekko uderzony kamerton. Wołała. Zapraszała. Obiecywała.

Posłuchał.

Była ciepła w dotyku, niespodziewanie. Opalizująca powierzchnia stała się przejrzysta jak szyba okna, łączenia wielkich kryształów, z których była złożona, stały się niemal niewidoczne. Po drugiej stronie było coś.

Przestrzeń. Droga. Kolor.

Ale Carlos nie potrafił ich nazwać ani nawet zrozumieć, na co właściwie patrzy. Nie wiedział właściwie, czy to nad czy pod nim, ani czy patrzy przed czy za siebie...

Ocknął się na krześle.

Ktoś położył mu na głowie mokry ręcznik, jak człowiekowi z wysoką gorączką. Spierzchnięte usta zgadzały się z tą absurdalną diagnozą.

- Cholera, nie chcę, żeby ktokolwiek dotykał Lustra, zanim nie zabezpieczymy w pełni całości! – głos należał do tej kobiety, oficera, dobiegał gdzieś z góry, a więc zapewne stała na schodach u wejścia do kawerny.

- Moja wina, nie sądziłem, że paćan polecą od razu to macać...

- Sam to zrobiłeś dwa dni temu – kobieta rzuciła kapelusz na jeden z blatów, teraz wyraźnie było widać intensywnie niebieskie kosmyki włosów, wskazujące weterana walk z Qa i ich jadowitym minerałem – Każde dotknięcie to jak gong ogłaszający w Pustce otwarcie wrót. Dopóki nie wiemy, jak je otworzyć, a co ważniejsze, jak je zamknąć, nie będziemy tym gongiem dzwonić niepotrzebnie. Dobra, potrzebni ludzie przy wejściu, Miguel z Julą ściągnęli pozostałych żywych wartowników, trzeba się nimi zająć. To będzie długa noc.

- Ta jest, pani hetman – Torres mrugnął do Carlosa, zamaszycie zakładając kapelusz – Chodź, cavallero, to w końcu twój ludź. Gorączka ci zaraz przejdzie, to normalny efekt.

- Co... Co to jest... ? – Carlos w końcu pokonał suchość w ustach, choć miał wrażenie, że język już na stałe przylepił mu się do podniebienia. Oficer spojrzęła na niego, przetarła dłonię twarz, niespodziewanie uśmiechnęła się.

- To, co myślisz. Drzwi – odpowiedziała miękko, spoglądając na migoczący artefakt – Drzwi, przez które wróci nasza bogini.

- To ciekawe – Imira zwerbalizowała głośno myśl, która od dłuższej chwili nie dawała jej spokoju – Czy nasza podświadomość zapamiętuje zapachy i projektuje je nam nawet, gdy ich w rzeczywistości nie ma...?

- Zebrało ci się na filozofię...?

Imira uśmiechnęła się, do swojego rozmówcy i do swoich wspomnień.

Styrgrad tak naprawdę pachniał jaśminowcem i ligustrem, który w dzikich zagonach zarastał brzegi rzeki, zalewając potacie białym kwieciem. Ale ona czuła zupełnie inny zapach.

Drażący nozdrza, ryjący w umyśle głębokie rysy. Zapach płonących ruin. I zwłok, rozkładających się w rzecznych zakolach...

Wciągnęła głęboko powietrze.

Stoki Cytadeli lśniły w letnim słońcu bielą odbudowanych murów. Zieleniły się nadrzeczne oczerety. Dzielnica Alcaron, rozciągająca się po drugiej stronie rzeki, barwiła horyzont dachami w kolorze ochry. Styrgrad zmartwychwstawał.

- Wiesz, że tylko ty słyszysz trupy pod świeżym tynkiem...?

- O, to nie jest prawda – Imira zaprzeczyła gwałtownie, choć rzeczywiście rozpracował jej myśli, co nie było specjalnie trudne, i przejrzał to, co widziała zza fasady świeżo odbudowanej rzeczywistości – Nie tylko ja – ruchem głowy wskazała na kwiaty, stopione świece, tablice z imionami, poustawiane u podnóża wysokich murów – Wszyscy je tu widzimy – wiedzona ważną myślą odwróciła się jeszcze raz w kierunku rzeki, w kierunku miejsca, gdzie jeszcze kilka lat temu na wysokim nadrzeczным klifie stała świątynia. Klif zsunął się do wody, powodując zator i szerokie rozlewisko, pod którego wodami zniknęły mury.

- Ją też widzimy.

Wielki mistrz Zakonu Kreacji uniósł brwi, zdziwiony tym porównaniem.

- Ale ona nie jest martwa.

Chwilę oboje milczeli, wpatrzeni w wody Sankary.

- Jedziesz na Otorten – Imira bardziej stwierdziła, niż zapytała, choć doskonale znała odpowiedź, ale jakoś trzeba było wreszcie zacząć konkretną rozmowę. Choć zdecydowanie wolałaby jeszcze chwilę ze starym przyjacielem wspólnie pomilczeć na ważne tematy. Elidis westchnął, poprawił szatę gestem, wskazującym, że i on przechodzi do konkretów.

- Jadę. Mam obowiązki, poważniejsze niż te, które pełniłem jako cesarz Caer. Choć... mniej mi miłe – powiedział całkiem poważnie – Sądząc po tym, co usłyszałem na temat ostatniej awantury w Radzie, ty nie jedziesz...?

- Faktycznie, nie – uśmiechnęła się półgębkiem – Mam wyżej uszu wrabiania mnie w dyplomatyczny kociot, bo akurat jestem w okolicy. Poza tym...

- Ej, ale dyplomacja nieźle ci idzie – elf roześmiał się z przyjazną ironią – Pamiętam, jak kiedyś na szczyt międzypaństwowy przyprowadzono cię w kajdanach, a kilka godzin później podpisywałaś Traktat Vistanijski.

Imira parsknęła:

- To nie jest wcale wesołe wspomnienie...

- A to, dlaczego poseł samnijski wobec całej Rady rzucił ci pod nogi głowę swojego ziomka, przewiązaną wstążeczką....? Tę historię serio chciałbym usłyszeć.

- Nic ciekawego. Zaczęło się od urwania mi połowy ryja granatem N2, a potem było tylko zabawniej... - odruchowo przetarła prawy policzek, na którym skóra zregenerowała się niemal całkowicie i tylko lekkie nierówności przypominały o ranie, przez którą kilka miesięcy wcześniej białaty jej zęby. Mag uniósł rękę i lekko dotknął końcówką palców jej policzka, Imira poczuła mrowienie przechodzącej przez tkanki magii.

- Nieźle... Ty wręcz przyciągasz kłopoty. Może rzeczywiście nie jedź na Kongres, bo na sam twój widok kniaź Goctaw gotów odpalić swoje mineralowe pociski...

- Cóż... Nie możemy oficjalnie przecież ingerować w teralską politykę – Imira otrząsnęła się z nieprzyjemnych wspomnień – Jeśli kniaź chce postać do piekła połowę swoich rodaków, kimże jestem, żeby mu zabronić...

- Mhm... - uśmiech elfa ewidentnie mówił, co sądzi o prawdziwości tych słów – Wiem, że już coś wykombinowaliście. Zresztą, mam nadzieję, że tak. Widziałem skutki wybuchu pod Otorten i powiem ci, że wolalbym więcej nie oglądać.

- Historia wyprawy Blizbora?

- Cholera, w życiu nie widziałem równie głupio zacieranych śladów – parsknął z niechęcią – Prowadzić próby z bronią, która może wysadzić pół świata w diabły.... Znaczący, bez urazy... Ale tak nieudolnie, że wywaliła w teren, po którym akurat przechadzała się córka kniazia z sąsiedniego grodu, udając, że uczy się na łowcę potworów...

- Słyszałam, że finalnie sprawa była mało zabawna...

- Terali w ogóle mają kiepskie poczucie humoru. A kiedy w pobliżu są Samnijczycy, to nie mają go wcale. A tam zawsze w pobliżu są Samnijczycy. Tym niemniej... Otorten to wyjątkowe miejsce. Pozdrowię od ciebie Wilczana, to w dużej mierze jego zastuga.

- Żebyś wiedział – roześmiała się – Wilczan to dziwny człowiek, ale nie sposób mu odmówić zaangażowania i żarliwej wiary.

- Otorten to idealne miejsce dla ludzi żarliwej wiary. Pełne blizn z przeszłości. Pasowałabyś tam – Elidis zaczęła uśmiechnąć się półgębkiem – Poza tym naprawdę chętnie zobaczyłbym, jak na Kongresie Narodów, przed poselstwami z całego świata mówisz im wszystkim, co o nich myślisz.

- Nie kuś -Imira westchnęła – Nikogo raczej tam nie obchodzi, co myślę. Za to tutaj mam zadanie. Jedyne, które naprawdę się liczy – głos jej spoważniał - Może do tego właśnie szły przez całe życie i do tego prowadziły wszystkie te fikołki losu...

Elidis spojrział na nią przenikliwie i sięgnął do kunsztownie wyszywanej torby, którą nosił zawieszoną przez ramię – To możliwe. Dlatego dostaniesz wszystkie informacje, o jakie prosiłaś. Także dlatego. Poza tym... - nagle drgnął i znieruchomiał, jakby nasłuchiwał. Imira także podniosła wzrok, obserwując przyjaciela z lekkim zdziwieniem.

- Usłyszałaś to również...? - zapytała niepewnie. Caernoth rozglądał się, jakby szukał źródła tego, co do niego dotarło.

- Raczej... poczułem... Jak falę, impuls... Głos bez dźwięku?

- To ona – Imira uśmiechnęła się lekko – Wiem, że to ona. Świątynia pod Wodami, tak teraz nazywamy to miejsce, od kiedy runął brzeg i stworzył tu rozlewisko. Ale posąg, jej posąg wciąż stoi... I w jakiś przeciwny sposób jest tam... jej obecność.

- Tak – Elidis utkwił wzrok w falach Loranis, migoczących w blasku schodzącego coraz niżej popołudniowego słońca – Mówili mi, że prawie się utopiłaś, próbując nurkować w tych wodach.

- Prawie robi różnicę. W dodatku było warto.

- Często emanuje stąd ta energia....?

- Od kiedy złożyliśmy Lustro, coraz częściej.

- Chcę je zobaczyć... Widziałem kiedyś tylko jego kawałek. Okruch. Złożenie tego w całość wydawało się być złowrogim zagrożeniem raczej, niż przyczynkiem nadziei...

- Tak... - Styryjka uśmiechnęła się szczerze – Życie nigdy nie przestaje zaskakiwać. Zobaczysz je. Ale wiedz, że to nie jest bezpieczne. Dlatego zresztą nie pojedę do Terali. Ono... przyciąga cały syf z chyba wszystkich światów jakie istnieją. A już na pewno z Pustki. Nie ma dnia, żebyśmy nie walczyli z kolejnym atakiem. Tercja jest potrzebna tutaj, nic nie może naruszyć Lustra, zanim nie dowiemy się, jak je otworzyć. Poza tym, ten oddział pracuje nad tą misją od lat. Dadzą sobie radę. Zwłaszcza z twoją pomocą.

- Obiecałem ci, że im pomogę – elf poważnie skinął głową. W wyciągniętej dłoni podał jej mały przedmiot, zawieszony na łańcuszku – Przekaż im to, ale niech poczekają na mnie z zadaniem. Widziałem, jak wykonują to krasnoludy i myślę, że nie masz raczej nikogo bardziej kompetentnego w twoim oddziale.

- Rzeczywiście, nikogo bardziej kompetentnego w magii kreacji nie mam – roześmiała się – Dziękuję.

- To ja dziękuję. Ale wiesz, że to nie będzie łatwe...? Wiesz, że już jest sporo takich, którzy zechcą was powstrzymać...

- Wiem. Są nawet wśród naszych ludzi, w Styrii, choć sama w to nie wierzę...

- Są – przytakną poważnie – I całkiem głośno zaczynają powtarzać, że Lustró jest niebezpieczne i najlepiej oddać je Kompanii Nowej Magii, a misję zatrzymać. Uszanować poświęcenie Tavar...

Imira niemal słyszalnie zgrzytnęła zębami, a zirytowany głos zabrzmiał jak warczenie zwierzęcia:

- Uszanować...? Wyobraź sobie, że ktoś usiłuje cię zabić.. Zatluc, rozszarpać i zeżreć twoje szczątki, a jest też o całe niebiosy silniejszy. Więc niemal mu się udaje, ale ktoś staje w twojej obronie. Ratuje twój tyłek i niszczy twojego prześladowcę, ale ... przy okazji sam spada w przepaść. Ty przeżyjesz i podchodzisz do krawędzi przepaści, i widzisz, że tam leży, słyszysz, że wciąż żyje... Więc, psiakrew, nie wiem, co trzeba mieć w głowie, żeby powiedzieć „uszanujmy jej poświęcenie”, bo średnio moralnie ogarnięty człowiek zejdzie w tę przepaść choćby z czystej wdzięczności...

- Skończyłaś? – Elidis zerknęła badawczo na przyjaciółkę – Wiesz, że mówisz to do niewłaściwej osoby? Ale niezła metafora.

- Wiem. I wiem -tercjero powoli wciągnęła powietrze, opanowując ogarniającą ją złość- Mówię, bo przed kimś muszę to wywrzeszczyć. A jak usłyszę to od kogoś, to przysięgam, że dostanie klapsa w kły...

- Daj spokój – mag uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu – Wściekłość zaciemnia ci tylko ostrość widzenia. A mamy lepszą motywację. Ona... Nie będę ci tu chrzanił głodnych kawałków o nadziei i wytrwaniu – zachnęła się na słowa, które w pół zdania utknęły mu w gardle – Powróci.

- Wiem, El – w oddali wody Loranis ze złocistych powoli przeistaczały się w szkarłatne – Słyszałam ją tam, w Silbrfjell. Wszyscy słyszeliśmy.

- Tak, tak, ale ja nie o tym – Elidis roztarł lekko dłonie, co świadczyło o tym, że nieustannie próbował magicznie sondować okolicę, usiłując precyzyjnie zlokalizować źródło energii, która do niego dotarła – Widzisz, ja po prostu wiem. Czuję ją. Są więzi, których się nie zerwie, nie wystarczy po prostu dać się wywalić poza nasz wymiar – uśmiechnął się, rozbijając zbyt patetyczny nastrój – Chodź, diable, na niektóre rzeczy pomoże tylko wino... A nie, wróć, na ciebie nie działa. To chodź mi potowarzyszyć. Dawno nie widziałem Stygradu... żywego.